

Powroty Julii Hartwig

Iłona Leć

redakcja@kurierlubelski.pl

Julia Hartwig przyjechała do Lublina na jubileusz Unii, w której uczyła się przed wojną, a także, żeby zobaczyć się z przyjaciółmi. I my mogliśmy się z nią spotkać. Oto garść zwierzeń poetki, lublinianki z urodzenia.

- Moi przyjaciele zapraszają mnie do Lublina - mówiła.

- Z ciekawością i wzruszeniem patrzę, co się zmieniło i widzę moje dawne drogi, jeszcze z dzieciństwa i wczesnej młodości. Każdy przyjazd jest dla mnie przeżyciem, bo nie tylko mam tu wspomnienia, spotkania z ludźmi, ale także bliskich pochowanych na cmentarzu. Duża część mojej osobowości przynależy nadal do tego miasta. Powroty do Lublina zawsze będą miały dla mnie charakter intymny i osobisty. Staram się zawsze zawstydzić moich znajomych, którzy tego miasta nie znają. Zawsze im mówię, żeby jechali do Lublina, żeby poznali Lublin. Ja jestem z niego bardzo dumna. Uważam, że to jest piękne miasto, pięknie zachowane, z taką dobrą atmosferą.

Pierwsze wiersze

W 1936 roku, w gazetce szkolnej „W słońce” opublikowałam pierwszy wiersz. Ja właściwie prowadziłam tę gazetkę. Zawsze wyróżniano mnie w pewien sposób, bo w końcu nie każdy pisze wiersze. Mój stosunek do nich jest szczególny. W moich wyborach tych wierszy nie zamieszczam. Tylko te, które się ukazały w zbiorku z 1956 roku i późniejsze. Ale już przedtem drukowałam w „Odrodzeniu”, „Kuźnicy”, w pismach literackich. A potem w Krakowie, gdzie uczęszczałam na podziemny Uniwersytet Warszawski, który tam się przeniósł, wiedziałam, że będę pisała, że to jest moje powołanie. Do dziś pisanie jest moim sposobem na życie. Ono mi nawet w pewien sposób pomaga żyć.

Gdyby nie pisarstwo...

Przypuszczam, że mogłabym na przykład skończyć historię sztuki, ponieważ jest mi bliska. Bardzo doksztaciłam się w życiu nie tylko dzięki lekturom krytyków malarskich, ale także dzięki podróżom. W każdym z tych miast, w których mieszkalam - myślę tutaj o Paryżu, a także o Nowym Jorku - są ogromne, wspaniałe muzea, które bardzo regularnie odwiedzałam. Oglądanie obrazów sprawia mi ogromną radość i przyjemność.



FOT. JACEK BABIŹ

Julia Hartwig, znakomita poetka, podczas pobytu w Lublinie

Rodzina

Brat Edward był prawdziwym artystą fotografikiem. Ojciec bardzo dobrym - ja bym go nazwała świetnym - rzemieślnikiem. Robił znakomite zdjęcia, które potem wydawano jeszcze jako karty, na przykład widoki Lublina.

Zawsze im mówię, żeby jechali do Lublina, żeby poznali Lublin.

Rodzice uciekli z Rosji przed rewolucją październikową. Oczywiście mój ojciec zniósł to o wiele lepiej, ponieważ miał korzenie polskie. Natomiast dla mojej matki Marii, Rosjanki, było to dosyć bolesne, także ze względu na język, bo oczywiście wszyscy mówili tutaj po polsku. Ja niestety - i to bardzo sobie życzę - nawet nie znam rosyjskiego, bo matka nigdy nie rozmawiała z nami w tym języku. Myślę jednak, że tego też potrzebowała. Opowieści rodzinnych było stosunkowo mało i te pochodziły raczej od mojej babki. Równocześnie zachowało się kilkanaście zdjęć zrobionych w Moskwie, na których jest moje rodzeństwo, rodzina mamy - siedzą w ogrodzie przy stole. Bardzo ładnie wyglądają, jak z Czechowa. Myślę, że mogłabym ich polubić. A na innym zdjęciu siostra i brat są sfotografowani, chyba w drodze do szkoły. Są ładnie ubrani, moja siostra ma na głowie czepeczek z falbanką, które wtedy się nosiło. Ja do tych zdjęć wracam, one mi przypominają, skąd pochodzę. A pochodzę z dwóch pni cywilizacyjnych. Matka zabierała

nas i do kościoła, i do cerkwi. Zrozumiałam już jako dziecko, że tak samo mam kochać jedną i drugą religię, bo Pan Bóg jest ten sam. Matka była osobą spokojną, sprawiedliwą, nigdy nie krzyczała.

Po francusku

Najpierw rozpoczęłam studia na podziemnym Uniwersytecie Warszawskim. Potem był KUL przez jakiś czas, potem pojechałam do Krakowa za Uniwersyteciem Warszawskim. To było ciągle poszukiwanie, żeby jeszcze się douczyć. Czasy były tak złe, że właściwie nie chciało się brać w nich udziału i temu właśnie zawdzięczam moje zainteresowanie literaturą francuską. Przeczytałam całą bibliotekę przekładów Boya-Zełęńskiego, a potem zrozumiałam, że chcę oddać się również literaturze francuskiej. Wydałam dwie monografie Apollinaire'a i Gerarda de Nerval. Właściwie można powiedzieć, że ja na Apollinaire'a trafiłam, bo chociaż był znanym poetą, to moje wykształcenie filologiczne było dosyć marne. Przez trzy lata byłam w Paryżu po otrzymaniu stypendium, chodziłam do Bibliotheque Nationale i poznawałam poezję francuską. Wtedy właśnie zachwylił mnie Apollinaire, przeczytałam o nim różne wspomnienia, które mnie po prostu zafascynowały. Był kochany przez Francuzów, miał ogromne zalety i fantazje. Pomyślałam, że to mój bohater na jakiś czas. Pisałam jego biografię przez prawie trzy lata, obszerną, dającą pogląd na całą epokę. Zajął się także bardzo intensywnie malarzami, z którymi się przyjaźnił. Tam wyładowała się również moja pasja do historii sztuki. A francuskiego uczyłam się w czasie okupacji.

Wojna i po wojnie

W czasie wojny byłam łączniczką AK. Narodził się w dużej mierze zorganizowany, za mało o tym mówimy, ale to jest niezwykły przypadek w dziejach Europy.

A po wojnie Edwarda zabrali do łagru. Wyglądało to beznadziejnie, było wiadomo, że ten, kto znalazł się w łagrze nie wyjdzie albo wyjdzie tak obciążony, że nie będzie już sobą. Na szczęście wtedy po półtora roku znajomi stamtąd wrócili, ale niektórzy, reszta siedziała aż do końca. Edward wrócił nie do poznania, rzeczywiście wychudzony, broda, wąsy. Bardzo dziwny człowiek, wyglądał inaczej. Ale wszyscy byli i tak szczęśliwi, a on jakoś otrząsnął się z tego. Cieszył się pobyciem w domu, że widzi rodzinę. Bardzo niechętnie opowiadał o pobycie w łagrach, nie lubił do tego tematu wracać, ale i tak wiele wiemy, bo jego towarzysze opisali chorobę Edwarda i jak się nim opiekowali. Cieszył się tam wielką sympatią. Oni go prowadzili pod pachy do pracy, bo nie miał siły chodzić. A komu się chciało?! Oni też byli stabi! Dzięki nim odzyskuję trochę wiary w ludzi, że jednak są i tacy, którzy nie myślą tylko o sobie, pomagają komuś, mimo że im jest też trudno.

Po amerykańsku

Z moim mężem Arturem Międzyrzeckim wyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych na kilka lat. Nie miałam wyboru. Po '68 nie mieliśmy żadnych zajęć, nas po prostu nie publikowano. Trzeba było gdzieś pojechać za chlebem. Mąż wykładał na uniwersytecie w Iowa polską literaturę międzywojenną. Ja także wykładałam, tylko krócej. To było bardzo ciekawe doświadczenie. Zobaczyłam inną cywilizację, innych ludzi, zapoznałam się z inną literaturą. Wtedy poezja amerykańska była prawie nie tłumaczona - to dopiero Miłosz tłumaczył ją po wojnie. Wtedy postanowiliśmy, że napiszemy antologię poezji amerykańskiej. Ja wydałam mój dziennik amerykański. W USA byłam uczestnikiem programu International Writing Program. Dzięki zaproszeniu mieliśmy zapewnione pół roku życia w Stanach. Potem w dużej mierze naszym losem przejął się Czesław Miłosz, który bardzo starał się pomóc mężowi w znalezieniu pracy, co nie było łatwe, ale w końcu ta praca się znalazła. Bardzo spokojnie żyliśmy. Nasza córka tam zdała maturę, skończyła NY University i została.